

Zdzisław Broncel

Cnoty i grzechy Imci Pana Bartłomieja

Kiedy rozciąłem pierwsze kartki „Pamiętników Bartłomieja Michałowskiego“¹⁾, wydanych świeżo przez prof. Henryka Mościckiego, anim się spodziewałem, że stary Henryk hr. Rzewuski, autor „Pamiętników Soplicy“ i „Listopada“ może być lekturą tak aktualną, jak to się potem okazało. I co więcej, szczerze mówiąc, książka ciekawsza od niejednej dzisiejszej powieści, nawet z tych, co mają na sobie opaskę „nagroda taka to a taka za rok...“

„Pamiętniki Michałowskiego“ ukazały się po raz pierwszy w r. 1857, oczywiście są utworem Rzewuskiego, a nie autentycznymi wspomnieniami szlachcica z 18-go stulecia. Ich bohater i udany autor, Bartłomiej Michałowski, pochodzi ze skromnego rodu szlacheckiego, własnym sprytem, gładkim słowem, przezornością dorabia się intratnego starostwa, kamieniczki w Warszawie i sporego kapitału, leżącemu na procencie w banku Teppera.

Urodził się Michałowski w r. 1733, najczynnijesz okres jego życia przypada na ostatnie lata Augusta III Sasa i panowanie Stanisława Augusta. Służył w wojsku Marii Teresy, Szambelanową i Augustowi III i Poniątkowskiemu rozmawiał z Fryderykiem Wielkim, Katarzyną II; na dworze królewskim stykał się blisko z potężnymi magnatami polskimi: Jaxą Braniczkiem, hetmanem wielkim koronnym, z hetmanem wielkim litewskim — Radziwiłłem i synem jego, Karolem „Panie Kochanku“, z kanclerzem Czartoryskim, z Salezjanem Potockim, wojewodą kijowskim; poznał przy stole obiadów czwartkowych Krasickiego, Naruszewicza, Wyrwicza, Trembeckiego, Węgierskiego, Zabłockiego.

Tak więc pamiętniki tego pół-dworaka, jakim był Michałowski, muszą dawać obraz polityczny i obyczajowy schyłku epoki saskiej i okresu stanisławowskiego. Ten drugi nie występuje tak wyraźnie, jak pierwszy. Rzewuski, wróg nowatorstwa, zachodniego demokratyzmu, czciciel Targowicy, nie mógł poznać się na umyślnym odrodzeniu, które przyszło do nas za Stanisława Augusta i pisać dzieło, mające być apoteozą sarmatyzmu, szlacheckiej Polski, napisał właściwie pamflet na szlachtę. Rzewuski i Michałowski mogliby być rodzeni z tej samej matki — bohater Rzewuskiego, to on sam, przeniesiony — jak mówi w przedmowie Mościcki — w tamte czasy. Dlatego właśnie książka ma wartość świadectwa, jakie sam sobie wystawia pewien typ człowieka. Z charakteru Michałowskiego można wyprowadzić chyba wszystkie nasze wady narodowe, w jego pseudo-zaletach, widzianych przez Rzewuskiego, jako cnoty, jest nieraz takie wsteczniństwo, brak godności narodowej, ukryte warcholstwo i potężne głupstwo, że nawet teraz trzeba się rumienić za tego naszego pana brata sprzed dwóch wieków. Charakterologia Michałowskiego to istny wykład przyczyn upadku Polski.

Ala jest i druga strona medalu. Prądy idące z Zachodu przynosiły z sobą kosmopolityzm, indyferentyzm religijny, rozluźnienie obyczajów i podrywały na wszystko, na czem opiera się w człowieku poczucie obowiązku. Tu, — gdy czytamy te zapiski i widzimy staropolską cnotę, siłę związków rodzinnych — chciałoby się zawołać, że to jest przecież lekcja na dziś, że nieraz szlachecka solidarność imponuje nam wobec współczesnej handlarskiej etyki.

Słowem w „Pamiętnikach Michałowskiego“ można dopatrzyć się ukrytego moralu na czasy dzisiejsze. W wadach dostrzec podobieństwo do teraźniejszych, a w prawdziwych, rzetelnych zaletach wskazówki na dziś.

W tem właśnie sedno rzeczy. Tak trzeba patrzeć na tę książkę, bo od strony wydarzeń politycznych roi się o fałszywych ocenach i fałszywego przedstawiania rzeczy.

czy. Rzewuski, pełen uwielbienia dla Rosji, nie mógł wypisać pochwał dla Konfederacji Barskiej, czy reform ustrojowych, Katarzyna jest u niego okiem opatrności, czuwającym nad Polską, a takie np. sprawy, jak głośne wywiezienie trzech senatorów do Rosji — Rzewuski ocenia w „Pamiętnikach“ jako zbawienne dla Rzplitej.

A teraz do rachunku sumienia! Niechno stanie przed nami Imc Pan Bartłomiej i okaże swoje grzechy i cnoty.

Zaczyna Michałowski od wspomnień z dzieciństwa, prezentacji domu i rodzeństwa. I od razu aż bierze nas podziw nad tą rodziną solidarnością. Brat dopomaga bratu, siostrze, kiedy jednemu dobrze się powodzi, drugi napewno biedę nie zazna — wykłada Michałowski zalety tego systemu „rodzinnej ubezpieczalności“ (jakby napisał W. Wasiutyński). Przez cały ciąg „Pamiętników“ sprawy majątkowe Michałowskiego ściśle łączą się z interesami rodziny. Oto brat wpadł w biedę — dalej osadził go na ziemi, siostrze — wdowie źle się dzieje, jużto brat — kanonik postara się o poprawę bytu, zawierucha domowa zniszczyła miecznika Michałowskiego, wnet szambelan Michałowski powierzy mu swoje oszczędności, żeby ratował gospodarstwo. A w młodości, który pierwszy więcej pojeździł, ten ciągnie młodszych. Najstarszy ma rodzicielską władzę nad resztą i byłoby hańbą dla niego, gdyby ich, jak rodzonego dzieci nie wykształcił, nie uposażył i nie wprowadził w życie.

Wyraza stąd także siła kontroli moralnej. Odpowiada się nie za siebie, nie za swoje widzi-

mię, ale za ród, za herb, za n a z w i s k o. Splendor, który spłyne na jednego Michałowskiego, okrywa blaskiem całą rodzinę — pan miecznik już inaczej będzie kładł rękę na karabeli, gdy jego brat otrzyma order domu saskiego. Gdyby zaś spadła infamja na Bartłomieja, nie będzie się mógł miecznik pokazać na sejmiku.

A serce rodziny — matka? Oto jak pisze Michałowski o swem roztaniu przy wyjeździe na służbę austriacką.

„Ta cnotliwa matka milowała nas po bożemu, córki czasem po pieściła, synów nigdy; owszem groźnie z nami postępowała, dając nam czuć swoją władzę. Wszyscyśmy się jej bali, nawet regent, choć

urzędnik, ojciec dzieciom, nigdy bez jej nalegania nie odważył się usiąść w jej przytomności. Księżka Antoniego, że był kapłanem, szanowała, i nietykła groźby, ale żadnej poufałości sobie z nim nie pozwała. Zawsze sama przystawiała mu krzesło, ile razy w jej domu ją odwiedził; ale w afekcie macierzyńskim żadnej miłości między nami nie robiła różnicy. Kiedy mnie błogosławiła, spostrzegłem jak łza zakręciła się w jej oku. Na ten widok własnej czułości nie umiałem ukryć, rozplakałem się serdecznie, z czego się wielce zawstydzilem, a niepotrzebnie, bo tem nie nie utraciłem w opinii generała“.

Ranny w wojnie austriacko-pruskiej, na którą go właśnie matka opatrywała, Michałowski już w randze sztaba — oficera cesarskiego jedzie na południe Francji leczyć się u wód. W drodze spotyka Stanisława Ponia-

ńskiego, stolnika litewskiego. Było to w Strassburgu. Michałowski zatrzymał się w pewnej austerji i dowiaduje się, że stoi w niej także dwóch Polaków. I oto, piękny obraz poczucia związku narodowego:

„Skoro się dowiedziałem o pobycie tych panów pod jednym z miną dachem, lubo nie miałem zaszczytu być im znanym, stosując się do zwyczajów szlachty polskiej poczytałem za obowiązek starać się do nich być zbliżonym“.

Ze Strassburga, za namową Poniańskiego, jedzie przedstawić się królowi Leszczyńskiemu w Lunewilu. Gościnnie przyjęty, zostaje tam do Wielkiejnocy i ma sposobność do takiej notatki:

„Nadeszła Wielkanoc, którą król obchodził wedle polskich obyczajów. Po nabożeństwie, jak zwykle, kazal zaprosić na święcone wszystkich tych, którzy byli w kościele. Można sobie wyobrazić, jaki tłum wtoczył się do pałacu, była to mieszanina wszystkich stanów w równości religijnej, jednej, jaka może istnieć na tym padole płaczu. Król i panowie dworu roznosili wszystkim pokrajane jaja i u jednego stołu pożywali poświęcone jado, ciesząc się wspólnie rocznicą Zmartwychwstania wcielonego Boga i Odkupiciela rodu ludzkiego“.

W tem świadectwie iście polskiej tradycji jest charakterystyczna uwaga o równości religijnej. Michałowski nazywa ją jedyną, jaka może być na ziemi. Tu djabł pokazał rogi. Odezwał się szlachcic z doby saskiej. Dawniejby dodano, że jest jeszcze równość druga — szlachecka. Michałowski zna dobrze współczesne mu stosunki i już z tej równości ustępuje, kłania się nisko magnatowi, mieni się przed nimi chudopacholkiem i powiada sobie, że niema co zwykłym szlachcicowi cisnąć się tak wysoko. Michałow-

ski wie, że tam rozstrzygają się sprawy polityczne — świadomie rezygnuje z wszelkiej próby oddziaływania na ich bieg. Co tam potencje rozstrzygną, to on przyjmie. Niech będzie król, jak chce, byleby był, byle były sądy i pomyslna konjunktura dla szlacheckiej gospodarki. Byle intraty z dzierżaw dochodziły. Ten indyferentyzm polityczny robi potrosze kosmopolitę z tego, zdawałoby się, arcy-sarmaty.

Michałowski ma moralność religijną, ale nie ma narodowej. Michałowski ma braci — szlachtę, ale nie ma matki — Polski. Kiedy obraża się na króla, to „pakuje manatki, żeby jechać do Wiednia, pod poddaństwo austriackie; nie żał mu, że dostał kulę w krzyżę w najemnej służbie cesarskiej — ale od Konfederacji Barskiej odżegnuje się. Woli siedzieć cicho w swoim starostwie.“

Po pierwszym rozbiore, bawiając za interesami na Białej Rusi, już w granicach Rosji, wysławia dobroć imperatorowej i nie zdając sobie sprawy, jak się ponizają, wypowiada następujące sądy:

„...nawet były przykłady, że szlachta mająca dobra w Polsce, przenosiła się do Białej Rusi, jako to: hrabia Plater i książę Ksawery Lubomirski“.

Dlaczegoż to? Bo „nikt nie cierpiał na swojej własności, nikomu ża d n e j k r ó l e w s z c z y z n y nie odebrano...“ Michałowski czuł jest na sprawy pieniężne. W czasie bezkrólewia po śmierci Augusta III ucieka się o protekcję do Repnina i sprowadza rosyjskich żołnierzy, żeby przeciwnika wykurzyć ze starostwa. Michałowski peroruje o bezinteresowności służby publicznej, a sam unika godności, których sprawowanie uszczupliłby szkatułę. W tem jest nieodrodnym synem saskich czasów.

Jest coś wprost przerażającego w braku godności tego człowieka, który zgodził się na każdy reżym, każdy rząd, byle była sprawna policja, bezpieczeństwo i procenty. Wskutek takich Michałowskich Polska stawała się domem publicznym dla cudzoziemców. Wybierano z Polski to, co wtenczas było najpotrzebniejsze: zaciężnego żołnierza. Nie mieliśmy wojska, a rekrut szedł przelewać krew za obce sprawy. Podobnie jak dziś, gdy wszystko wola u nas o pracę, o naprawę, a polskiego robotnika kupuje obcy kapitał. Jak dawniej rekruta, tak teraz zagranica zabiera pieniądze i robotnika. Publiczny dom dla obcego kapitału!

Tysiąc zdań można by zacząć od „podobnie, jak dziś“. Gdyby w pewnych fragmentach o protekcji, o zabieganiu o posady, o ordery popodstawiać inne nazwiska, otrzymalibyśmy gryzącą satyrę na rok 1934! Na każdej stronie jest tu lekcja. Wezwać, zastanowić się, a pocujemy nietylko lekcję, ale chłostę i rumieniec wstydu.

Przytoczmy dla przykładu uwagę o żydach w kresowych powiatach Rzplitej. Michałowski podkreśla, że cały handel w tych stronach był w ich rękę, gdyż tylko żydzi przez swoje usposobienie, mogli handlować w stronach, narażonych na napady Krymu, Zaporozża i Hajdamacyzny. „Jeżeli który z nich był złupiony napadem, cały k a h a ł p o n o s i ł s z k o d ę; a jeżeli jej wynagrodzenie przechodziło jego za możność, inne za możniejsze kahały s z ł y m u w p o m o c i w s z y s t k o s i ę u l a t w i a ł o m ą d r y m w p ł y w e m r a b i n o w“.

Czyż znowu nie zawstydzające pouczenie na rok bieżący?

Nie oczekiwałem, że „Pamiętniki Michałowskiego“ przeczyta się tak, jak wystąpienie publicystyczne. Myślałem, że utknę na drugiej stronie. Jest tam jednak jeden taki magnesik, który przeciąga do strony trzeciej, czwartej, póki się nie uchwyci niespodziewanej aktualności tej książki.

Tym magnesem jest anegdota „Pamiętniki“ nietylko uczą. Bawiają doskonale. Skarbiec ówczesnych dialogów, sekretnych informacji o królach, książętach i magnatach, sceny z życia arystokracji, z życia Radziwiłłów, Potockich, różne szlacheckie „relata refero“ — słowem, jak w czarodziejskim zwierciadle — całe „za króla Sasa, jedź, pij i popuszczaj pasa“.

Sędziwy jubilat



Aleksander Michałowski obchodzi w tym roku 65-ciolecie pracy artystycznej.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Zdewaluowane przymiotniki

Słowa są poniekąd instytucjami. I jak instytucje mają swoje dzieje: okresy, kiedy są nowe i gorszące, kiedy są modne, kiedy są popularne, kiedy są czeigodne, kiedy są przebrzmiałe i kiedy znaczyć zupełnie co innego, niż na początku.

Tak na przykład — poeziiwy. Był czas kiedyś, że znaczyły tyle, co prawdy, zaeny, był słowem zaszczytnym. A dziś mówi się: „To taki poeziiwy człowiek“. Przestało być zaszczytne, trudno!

Natomiast nie zwrócono uwagi na podobną ewolucję, gromząc innemu przymiotnikowi, dotąd również z zakresu zaszczytnych — słowo: poważny. Zobaczycie, nie minie lat kilkadziesiąt, a będzie się mówiło: „E, to taki poważny człowiek!“. Chwilowo słowo to znajduje się w stadium popularności, choć pojawiają się oznaki, wskazujące, że niewidocznie zmierzają one do zmiany swego stanu cywilnego.

Jeżeli tak się dzieje, to winno są, temu, proszę panów, wyłączenie okoliczności. Bo tak się dziwnie składa, że w Polsce od lat kilkudziesięciu conajmniej nie udawało się nie, co było robione „poważnie“, a wszystko, co dało rezultaty, dokonywało się drogą „niepoważnej roboty“. A skutki ponosi biedny przymiotnik. I dochodzi, proszę panów, do tego, że dziś zarzut „to jest niepoważne!“, brzmi prawie jak pochwała, niesie z sobą zapowiedź pomyślności, a określenie, że „trzeba poważnie przygotować“, staje się dyplomatycznym synonimem chęci ukatrupienia czegoś.

Wartoby się nad tem dziwnem fatum poważne zastanowić. Bo może to nietylko w Polsce tak jest?

„Co miesiąc, potem, co dwa tygodnie usiłowałam zrobić „zgromadzenie“. Zaproszenia pisało się na maszynie do pisania, a częściowo i ręką na kartce i spoczątku samemu rozsyłało, to znaczy roznosiło.“

Przypominam sobie, jak w tych pierwszych czasach roznosiłam sam osiemdziesiąt takich kartek i jak potem wieczorem czekałam na masę ludową, które powinny były przybyć. Z godziną opóźnieniem musiał „przewodniczący“ otworzyć „zgromadzenie“. Było nas znowu siedmiu, tych starych siedmiu“.

Prawda, jakie to niepoważne?

A ciekaw jestem, ile też setek, a może tysięcy marek zapłaciłoby dziś za taki autograf na kartce z zaproszeniem. Dziś, kiedy miliony umu-

durowanych i uzbrojonych zajęło miejsce tych starych siedmiu, tych „klubu“, jak go nazywa nasz wy-

A szkoda!

W ostatnim numerze „Pionu“ ukazała się odpowiedź p. Tadeusza Święcieckiego na mój list otwarty, zamieszczony w n-rze 10-ym „ABC literacko-artystycznego“. Odpowiedź nosi tytuł „Szkoda“. P. Święciecki zapewnia uprzejmie, że uważa by za swój obowiązek przeprosić mnie publicznie za wyrządzone mi niesłusznym zarzutem p. Skińskiego (w sprawie przedruku Celine'a) krzywdę, która nie leżała w intencjach pisma — ale uważa by to za obowiązek tylko wtedy, gdyby... Okazuje się więc, że udzielenie satysfakcji za uznana krzywdę nie jest sprawą, rozumiejącą się samo przez się; może być uzależnione od jakiegoś „gdyby“.

W danym wypadku „gdyby“ polega na tem, że — według opinii p. Święcieckiego — powinienem był poprzestać na polemice z niesłusznym postawionym mi zarzutem, a nie wysuwać nadto zarzutu przeciw p. Skińskiemu (w sprawie aide-memoire), który to zarzut uważa p. Święciecki za jeszcze bardziej krzywdzący — p. Skińskiego.

Na samym wstępie zaznacza p. Święciecki dwukrotnie, że poczuwa się do współodpowiedzialności za to, co napisał p. Skiński. Zapewne więc czytał dokładnie co napisał p. Skiński w podniesionej przeze mnie sprawie niedopuszczalności stosowania w walce polemicznej nieuchwytnych aluzji (takiego użytego określenia) do życia prywatnego przeciwnika. Jak wiadomo, słowa odpowiedzi p. Skińskiego brzmiały:

„Osoba zainteresowana otrzymała odemnie aide-memoire, obiecując zupełnie uchwytność w razie zbyt nieogólnych przeciwności wypadków polemicznych“.

Zupełną uchwytność czego? — z powiązań polemicznych wynikałoby, że uchwytność aluzji, co znów logicznie biorąc zdawało się, oznaczać pogroźkę babrania się w życiu prywatnym. Ale jeśli nawet p. Skiński, jak teraz twierdzi, miał na myśli wbrew logice słów jakąś inną u-

chwytność (czego — nadal nie określi i znów według swego zwyczaju rzecz formułuje nieuchwytnie), to i tak istota sprawy pozostaje niezmienną. A polega ona na tem, że jest osoba, której p. Skiński przestał „aide-memoire“, grożąc jakąś tajemniczą uchwytnością — „w razie zbyt nieogólnych wypadków polemicznych przeciwko niemu“.

Ludziłem się, że p. Tadeusz Święciecki uzna za konieczne zajęcie w tej sprawie stanowiska, zwłaszcza wobec przyjętej współodpowiedzialności i teniwej, iż znana mu jest zapewne całość owego „aide-memoire“, z którego p. Skiński ogłosił obecnie fragment. Dowiedziałem się natomiast, że podanie w wątpliwość pożyteczności wysyłającego tego rodzaju „aide-memoire“ — jest krzywdzącym zarzutem...

Wystarczy. Skoro zaś p. Święciecki kończy swoją odpowiedź lirycznym westchnieniem za straconymi w stosunku do mnie złudzeniami: „szkoda!“ — to wydaje mi się, że nam tembardziej prawo odwołajemy się do mojej strąty złudzeń: a szkoda!

Stanisław Piasecki.

P. S. P. Skiński zamieścił w „Pionie“ artykuł p. t. „Proszę o sąd“. Jest to łaskawa zgoda na sąd honorowy i pozwanie przed taki sąd również i mnie. P. Skińskiemu znane są chyba ustalone zwyczaje, stare, ale ściśle określone, któremi można skierować na tę drogę sprawę „naszej osobistej odpowiedzialności“. Ale gdy p. Skiński układa sobie jednostronnie zapis do sądu na łamach „Pionu“, a nadmiar wstawia do tego osobliwego zapisu punkt, polecający sądowi honorowemu wydanie werdyktu ni mniej ni więcej, tylko o... moralności narodowodemokratycznej, to pozostaje mi chyba odpowiedzieć propozycją, aby pięciu panów (po dwóch z każdej strony plus arbitra) wydać również wyrok o moralności sądowej, na początek rozważając takie sprawy, jak np. Brześć.

Przyszła historia nie wtedy nie będzie miała do roboty. Wystarczy, jak wpisze pod rubrykami „endecja“ i „sancja“ gotowe wyroki sądów honorowych.

St. P.

Podróżuj samolotem

¹⁾ Henryk hr. Rzewuski: „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego“. Wydłł Henryk Mościcki. Str. 291. Warszawa. Ultima Thule. 1934.